

Grudzień 1948 (str. 3); 0 polskich szkołach na Litwie (str. 4-5); Gehenna Sacharowa (str. 6-7); Młoda literatura (str. 8-9); Faworyty Cezara (str. 11)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 25 (223)

11 grudnia 1988

Cena 35 zł



Rys. Tomasz Wilczkiewicz

CZ. 0127-1108 0127-1108

Powrót do Wańkowicza

Wiesław Horabik

Dom miał stanąć na pustkowiu szczerym, na dolnym Zoliborzu, gdzie nie dochodziły jeszcze linie tramwajowe i żadna kucharka nie chciała się godzić z braku sklepów i kościoła. Z jednej strony widać było burą Wisłę, ku której szły pustacie, z drugiej — przewiew majdanu, na którym miał stanąć park im. S. Zeromskiego, z trzeciej — przemyśle, z której poczynano stawiać „szklane domy” pepesowskiej kooperatywy, z czwartej wreszcie — beczulki wapna tam, kędy zaległa się owa dziennikarska kooperatywa.

„Ziele na kraterze” jakoś najbardziej przypadło mi do serca z pana Melchiorowych dzieł. Nigdy nie była to dla mnie tylko „taką sobie historią, takiego sobie polskiego domu”, jak nieco przekornie i prowokująco sugerował autor. Była dla mnie historią wyjątkową już przez to, że tak pełną czucia i świadomości. Co tam Mistrz podretuszował, to jego sprawa, ale ten dom mógł od razu być domem-symbolem, domem-odniesieniem. Domeczek z „Ziela” był dla mnie zawsze syntezą domu w ogóle i częścią syntezy świata, który rozdeptał potem wiek masowości, wiek pozbawiony klasy, wiek skundlonych uniesień. Świata, w którym było jeszcze miejsce na wybryki jednostki, ale także i na jej azyle. Był więc Domeczek jakby i domem własnym, w który wrastało się odruchowo i chyba na zawsze, na który nakładano się swoją codzienność i swoje klęski rozczarowań, według którego próbowało się budować, bowiem stanowił miarę. Diabla tam, żadne ludzkie życie nie pęczniało nigdy tak równo i zdrowo, tak czysto i bez grzechu, a jednak każde dobre życie tak właśnie powinno wyglądać z oddalenia. Był więc Domeczek także odpryskiem utraconej naiwności, kominem, przy którym można się ogrzać, wspomnieniem otwarcia absolutnego, za które potem dostaje się od świata w pysk. Był Domeczek rozbraniem się w polskim życiu, roztkliwieniem się nad przeszłością, zasluchaniem w gawędę; był częścią małej, ciepłej bańki nadmuchanej powietrzem, światłem przy torach, lepka ciągliwością czasu. Tym wszystkim był, choć miał być jedynie „historią taką sobie”.

Smyrgaliśniny z Dudami po owych wszelakich przyszłych ulicach i przyszłych domach, pośród wozów zwożących materiały budowlane, pośród ludzi przyjeżdżających doglądać wyciągania ścian, i King cieszył się, że życie dzieci będzie splecione ze wzrostem nowej części miasta, że przez lata całe będą co dzień przybiegać z niezmiernie ważnymi wiadomościami o puszczaniu nowego tramwaju, założeniu nowego trawnika, dźwignięciu nowego bloku, inauguracji klubu, powstaniu cukierni.

Zimny wiatr zmuszał ludzi do pociągania nosami, wtulania głowy w podniesione kołnierze płaszcza, przyspieszania kroku, naciskania czapki na uszy. Nad miastem stało co prawda słońce, ale po jesiennemu już mizerne, pozbawione blasku i siły. Postanowiłem iść na Dziennikarską piechotą. Z planu miasta wiedziałem, że nazwa nie uległa

Dokończenie na str. 12—13



„Obrońcy Ojczyzny” Dymitrij W. Płotkin.

Fot. Krzysztof Twaróg

Totalny labirynt

Ireneusz J. Kamiński

GŁOSNO było ostatnio w prasie polskiej i telewizji o wystawie młodego malarstwa moskiewskiego „Labirynt”, która po premierze w radzieckiej stolicy spadła nagle na Warszawę, by po kilku dniach ekspozycji w hali „Gwardii” trafić do katowickiego BWA, gdzie w okresie: 28 października — 13 listopada wzbudziła zainteresowanie tysięcy osób.

Przelotna obecność „Labiryntu” w Warszawie spowodowała uderzenie złej krwi do wrażliwych mózgów kilku krytyków i recenzentów, wśród których znaleźli się m.in. panowie: Jerzy Z. Lessman („Przekrój”), Andrzej Matynia („Odrodzenie”) i Tomasz Rudomino („Kultura”). Wspomniany fakt oraz brak katalogu wystawy i szerokiej reklamy wokół wydarzenia uznali oni w kolejności za „smutną aferę”, „rzecz nieprzyjemną”, „skandal”.

Cóż, każdy człowieczy ból powinien wzbudzać współczucie i chęć udzielenia pomocy bliźniemu dotkniętemu nieszczęściem. Tylko czy istnieje recepta na chorobę, która polega, jak to ostatnio stwierdzili uczeni z Harvardu, na tzw. zdecydowanie arbitralnym, intencjonalnym oczepianiu po-

znańczym (zaop)?! Syndrom owej dolegliwości obejmuje m.in. lekceważenie faktów, uznawanie skutków za przyczyny oraz skłonność do słodkiej mitologizacji celowo wybranych fragmentów rzeczywistości.

Wymienieni panowie nie przyjęli, zdaje się, do wiadomości, że „Labirynt” znalazł się w Warszawie nagle, z dnia na dzień po wysłaniu stosownego telexu przez stronę radziecką, która zlekceważyła wcześniejszą prośbę CBWA o dokładne uzgodnienie miejsca i czasu wystawy nad Wisłą. Była to sprawa decydująca o losie polskiej ekspozycji „Labiryntu”, albowiem został on skierowany do Polski poza planem, w miejsce odwołanej przez Ministerstwo Kultury ZSRR wystawy młodych artystów radzieckich, przewidzianej dopiero na listopad — grudzień!

Plany, uzgodnienia — jak łatwo dziś wyszydzić tych „gnuśnych urzędników”, którzy przecież, z ewidentnie racjonalnych powodów, muszą stosować owe procedury.

Dokończenie na str. 12—13

ROK 1893 przyniósł początek rozłamu w polskim ruchu robotniczym. Na tle stosunku do kwestii narodowej i społecznej powstały dwie partie (PPS i SDKPiL), a następnie dwie orientacje — rewolucyjna i reformistyczna. Można postawić pytania: Czy mimo utrzymujących się różnic, istnienia wielu partii, były widoczne tendencje do współpracy? Czy istniały przesłanki do współdziałania? Odpowiedź będzie pozytywna. Wynikały one z następujących warunków. Oba nurty działały w środowisku robotniczym, w warunkach ustroju kapitalistycznego, braku swobód politycznych (najbardziej zjawisko to występowało w zaborze rosyjskim), braku własnej państwowości i eksponowania w swoich programach celu nadrzędnego, jakim było wywalczenie ustroju socjalistycznego.

W tych dwu ostatnich kwestiach występowały jednak zasadnicze różnice. Jeden z nurtów, którego symbolem była PPS, dawał pierwszeństwo walce o odzyskanie niepodległego państwa, a dopiero później zbudowaniu w nim socjalizmu na drodze legalnej. Drugi (SDKPiL) preferował zasadę obalenia ustroju kapitalistycznego przez rewolucję społeczną, która miała stworzyć warunki dla powstania ustroju socjalistycznego, gdzie rozwiązane zostaną m. in. problemy narodowe.

Współdziałanie obu nurtów widoczne było w szeregu wystąpień ekonomicznych, które były wspólne dla wszystkich robotników. Wspólnie manifestowano w pierwszych pochodach pierwszomajowych. Ważnym przykładem wspólnych działań były lata rewolucji 1905—1907 w zaborze rosyjskim. Wówczas to, niezależnie od przynależności partyjnej, przystąpiono do walki z caratem. Członkowie obu partii (PPS i SDKPiL) brali udział w strajkach, demonstracjach, ruchach na wsł polskiej, walczyli razem na barykadach Łodzi w czerwcu 1905 r. Zacieśniała się współpraca w latach przed wybuchem I wojny światowej. Występowała ona w ramach poszczególnych nurtów. Doszło do szerokiego zblżenia SDKPiL i PPS-Lewicy z jednej strony, a PPS-Frakcji Rewolucyjnej, PPSD i PPS-Zaboru Pruskiego z drugiej. Oba nurty dzieliło jednak stanowisko wobec wojny i kwestii narodowej. Była to konsekwencja wcześniejszych podziałów.

W roku 1918 naród polski „wybił się na niepodległość”. Odrodziło się państwo polskie. Przy analizie tego okresu często możemy spotkać stwierdzenie, że polski ruch robotniczy był podzielony przez kwestię narodową, odmienne spojrzenie na problem państwa i rewolucji. Tak rzeczywiście było. Jedni opowiedzieli się za rozwiązaniem rewolucyjno-internacjonalistycznym. Drugi stanęli na stanowisku, że najpierw państwo, a później w majestacie prawa wprowadzony socjalizm. W tym momencie chciałbym postawić jedną tezę (na pewno dyskusyjną), KPRP i PPS w gruncie rzeczy dążyły do realizacji jednego celu — vide: programy obu partii z 1918 (KPRP) i 1920 r. (PPS) — budowy socjalizmu. Łączyła ich strategia, dzieliła taktyka i metody. Jedni i drudzy pragnęli polepszenia sytuacji materialnej klasy robotniczej. Również i błędy popełniały obie strony. Lewica rewolucyjna przeceniła swoje możliwości w walce o natychmiastową rewolucję socjalistyczną i władzę Rad. Nurt socjalistyczny z kolei zbyt mocno wierzył w możliwość wprowadzenia w Polsce socjalizmu poprzez parlament. Już rok 1919 (oblicze parlamentu po wyborach, upadek Rad) zmusił obie strony do skorygowania swoich zamierzeń.

W latach II Rzeczypospolitej wzajemne stosunki między KPP i PPS przechodziły różne fazy. Były okresy, w których członkowie obu partii współdziałali ze sobą, ale i zdarzały się okresy obopólnej wrogości. Komuniści określali socjalistów mianem socjalfaszystów. Pepeesowcy z kolei odmawiali komunistom prawa do nazywania się polską partią. Dzieliły w dalszym ciągu, zwłaszcza na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, oceny perspektyw rewolucji socjalistycznej w Polsce i problemy narodowe.

W wielu jednak kwestiach stanowisko PPS i KPP było zbliżone. Obie partie stawiały sobie jako cel osiągnięcie socjalizmu. Różniły się co do metod. Wspólna była walka o obronę spraw socjalnych polskiego proletariatu. Oba nurty zwalczały dyktaturę J. Piłsudskiego. W wielu zakładach pracy istniało współdziałanie członków obu partii (często pracujących obok siebie) w kwestiach politycznych i ekonomicznych.

Pczytywne zmiany we wzajemnych kontaktach miały miejsce w drugiej połowie lat trzydziestych. Dla obu partii przeciwnik był jeden — dyktatura sanacyjna. Partia komunistyczna po VII Kongresie Kominternu odeszła od błędnych sformułowań w kwestii narodowej, jednolitego frontu robotniczego. W PPS doszło do radykalizacji poglądów. Wyraźniej zaznaczyła swoją obecność lewica partyjna z jej przywódcami: N. Barlickim, A. Próchnikiem i S. Dubois. Przykładem tego są uchwały XXIV Kongresu PPS w Radomiu w lutym 1937 r. Partia opowiedziała się na nim m. in. za złamaniem „oporu sil reakcji i faszystów wszelkimi rozporządzalnymi środkami, gdyby nawet one musiały w okresie przejściowym przybrać charakter czasowej dyktatury”. Obie partie szukały tego, co łączy, a nie dzieli, jak np. walka z konstytucją kwietniową, uwolnienie więźniów politycznych, walka z ustawami antyrobotniczymi. Doszło do współpracy w wielu ośrodkach, m. in. w Lublinie. Zacieśniała się współpraca pomiędzy KZMP i

OMTUR. Obie partie podpisały w lipcu 1935 r. tzw. „pakt o nieagresji”. Choć ramy jego były skromne, to należy podkreślić fakt, że była to pierwsza umowa między komunistami i socjalistami.

W drugiej połowie lat trzydziestych doszło do zwiększenia wpływów partii robotniczych w społeczeństwie. Hasła frontu ludowego, urealnienie postaw komunistów, radykalizacja socjalistów, nawiązanie kontaktów z radykalnymi ludowcami — rysowały ramy przyszłego porozumienia polskiej lewicy

Był to zarazem okres jednego z największych dramatów. W wyniku fałszywych oskarżeń stalinowskiego aparatu represji, decyzją KW Kominternu została rozwiązana KPP. Przerwaną w sposób nagły ciągłość nurtu rewolucyjnego w tym momencie, kiedy stawał się on i polski, i komunistyczny.

We wrześniu 1939 r. ujawniło się głębokie zaangażowanie członków PPS i b. kapepowców w walkę w obronie ojczyzny. Symbolami tego działania są ochotnicze bataliony robotnicze i postać b. legionisty, członka KPP, Mariana Buczka.

W latach wojny i okupacji podział w polskim ruchu robotniczym istniał nadal. W nurcie socjalistycznym doszło nawet do powstania dwóch partii: PPS-WRR i RPPS. W środowisku komunistycznym dopiero w styczniu 1942 r. powstała PPR.

czerwca 1947 r., kiedy w przyjętej uchwale stwierdzono, że „droga PPS wiedzie tylko na lewo, wróg jest tylko na prawo. Partner do współpracy znajduje się tylko po lewej stronie barykady”. Ta teza została potwierdzona na XXVII Kongresie PPS w grudniu.

Od wiosny 1948 r. kierownictwa obu partii opowiedziały się za przyspieszeniem przygotowań do zjednoczenia. Podjęto decyzję o zwołaniu na jesieni 1948 r. Kongresu Zjednoczeniowego.

Proces zjednoczenia się polskiego ruchu robotniczego został zakłócony wydarzeniami zewnętrznymi i wewnętrznymi. W tym czasie doszło do zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej i wzrostu napięcia między oboma blokami politycznymi. Rozpoczęła się „zimna wojna”. W europejskim ruchu robotniczym, po powstaniu Biura Informacyjnego, wzrosły tendencje uniformistyczne. Zaakceptowano tezę J. Stalina o zaostrzeniu się walki klasowej w miarę budownictwa socjalizmu. Narastały tendencje dogmatyczno-sekciarskie. Przyspieszony został w 1948 r. proces zjednoczenia partii komunistycznych i socjalistycznych. Był to wynik nacisków stalinowskiego kierownictwa partyjno-państwowego, aby przyspieszyć przesłanianie ustrojowe w krajach demokracji ludowej.

W Polsce — w kierownictwie PPR doszło do ostrego kryzysu politycznego. Wykonili się dwie orientacje mające odmienne poglądy na budowę

Grudzień 1948: powstanie PZPR

Emil Horoch

Opowiedziała się w swoich dokumentach programowych za walką narodowyzwoleniczą i jednością działania polskiej klasy robotniczej. Na jesieni 1943 r. PPR nawiązała kontakty z grupą działaczy RPPS. Poparli oni inicjatywę PPR utworzenia sojuszu sił lewicy społecznej w okupowanym kraju. Na podstawie tego sojuszu, uzupełnionego przez radykalnych ludowców i inne siły demokratyczne powstała KRN. Była to koncepcja programowa, która przewidywała budowę ludowego państwa, opartego m. in. o jedność klasy robotniczej. Reprezentowały ją PPR i odrodzona, nawiązująca do lewicowych tradycji PPS. Została zapoczątkowana na ziemi lubelskiej 22 lipca 1944 r.

Podstawową siłą przemian dokonujących się w Polsce Ludowej było porozumienie PPR i PPS. Partie robotnicze odegrały główną rolę w KRN, PKWN, Rządzie Tymczasowym i Radach Narodowych. Były inspiratorami i realizowały reformy społeczne. Obie partie kierowały się następującą zasadą: „PPS i PPR stanowią dwie bratnie organizacje działające na terenie klasy robotniczej. Wspólne cele w obronie interesów robotniczych i wspólne dążenie do ideałów sprawiedliwości społecznej wymagają koordynacji i porozumienia w działalności tych bratnich partii”. W tym czasie zwyciężyła również koncepcja stopniowego i powolnego przygotowania jedności organicznej polskiego ruchu robotniczego.

Jedność partii robotniczych umacniała się w walce z legalną i nielegalną opozycją oraz podziemnym zbrojnym. Zajmowały wspólne stanowisko w wielkich bataliach politycznych tego okresu — referendum i wyborach. Na I Zjeździe PPR i XXVI Kongresie PPS zostały potwierdzone zasady współdziałania. Charakterystyczne były słowa W. Gomułki, który, witając delegatów na Kongres, stwierdził, że jego partia wiele się nauczyła od PPS w zakresie patriotyzmu, zaś wpływowi PPR na socjalistów zawdzięczają oni zmianę swego stosunku do ZSRR.

Współdziałanie PPR i PPS doprowadziło w listopadzie 1946 r. do podpisania umowy o jedności działania obu partii. Podkreślono w niej, że obie partie zmierzają, poprzez coraz bliższą współpracę i ideowe zbliżenie, do osiągnięcia pełnej jedności organizacyjnej partii robotniczych. Była to pierwsza od 1935 r. umowa komunistów i socjalistów w Polsce. Utrwalała jedność ruchu robotniczego w naszym kraju, a zarazem kreśliła perspektywę jego zjednoczenia.

W kwietniu 1947 r. odbyło się posiedzenie KC PPR. Opowiedziano się na nim za taką współpracą, która w bliskiej przyszłości pozwoliłaby na zjednoczenie obu partii. Wychodzono z założenia, że na nowym etapie rozwoju polskiej polityki jednolitego frontu jest już niewystarczająca. Dla dalszego rozwoju kraju w kierunku socjalistycznym jest niezbędna jedność ideowa na bazie marksistowskiej i zjednoczenie ruchu robotniczego. W PPS stanowisko to nie zostało zaakceptowane przez wszystkich. Istniały opinie o przeciwnym charakterze. Wielu działaczy partii opowiadało się za utrzymaniem odrębności PPS. W dyskusji zwyciężyła ostatecznie platforma zjednoczeniowa. Wyróżnieniem tego były uchwały Rady Naczelnej PPS z 30

socjalizmu w naszym kraju. Finał tego sporu miał miejsce na plenum sierpniowo-wrześniowym KC PPR, podczas którego obciążono W. Gomułkę zarzutem prowadzenia działalności prawicowo-nacjonalistycznej. Dokonano zmian w kierownictwie partii. Odbiło to się również na losach PPS, z której odeszli działacze obciążeni podobnymi zarzutami. Te wydarzenia odbiły się negatywnie na dyskusji przedkongresowej, z której usunięto wątek harmonijnego połączenia dorobku jednego i drugiego nurtu.

Zakwestionowano tezę W. Gomułki o budowie socjalizmu w Polsce w oparciu o polskie realia i specyfikę narodową, zakwestionowano także oparcie zjednoczenia o syntezę tradycji nurtu komunistycznego oraz zasług PPS w sprawie niepodległości. Zrezygnowano z ważnych elementów dorobku nurtu socjalistycznego, takich jak: jedność demokracji i rewolucji, humanizm socjalistyczny czy problem funkcjonowania gospodarki opartej na trzech sektorach.

Mimo tych niekorzystnych zjawisk proces zjednoczeniowy był kontynuowany. 14 grudnia 1948 r. na II Zjeździe PPR i XXVIII Kongresie PPS przyjęto jednobrzmiące uchwały o zjednoczeniu polskiego ruchu robotniczego.

Nazajutrz rozpoczął swoje obrady Kongres Zjednoczeniowy, na którym została powołana Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Powołanie PZPR zakończyło ponad pięćdziesięcioletni okres rozłamu w polskim ruchu robotniczym. Oznaczało przyjęcie za podstawę jego działania ideologii marksistowsko-leninowskiej. Przesądziło o dalszym, socjalistycznym rozwoju Polskiej Ludowej. Umocniło kierowniczą rolę klasy robotniczej i jej partii w społeczeństwie i państwie. Było aktem trwałym, ponieważ nikt generalnie nie kwestionował powstania PZPR w latach późniejszych (pomijam jednostkowe, ekstremalne próby). Zjednoczenie było finałem długiego procesu w polskim ruchu robotniczym. Nie był to proces łatwy. Oba nurty często oddalały się od siebie. Istniały objawy nieprzejawni. Ale równoległe między komunistami i socjalistami występowały (w mniejszym lub większym stopniu) elementy współdziałania i współpracy. Te tendencje nasiliły się po roku 1944. Wówczas to PPR i PPS przeważały wiele koncepcji i opinii z okresów wcześniejszych. Zwyciężyło przekonanie, że tylko jedność polskiego ruchu robotniczego, a nie dwutorowość, jest podstawowym elementem rozwoju Polskiej Ludowej.

Oceniając to wydarzenie z perspektywy historycznej, należy przeważałości tradycji PZPR. Przywrócić im pełną syntezę obu nurtów, które weszły w skład zjednoczonej partii. Uwzględnić zarówno przeszłość nurtu rewolucyjnego, z jego krytyczną oceną szeregu spraw, jak i dorobek całej PPS, rozróżniając w nim zasługi od błędnych rozwiązań. Sprzyja temu obecny okres, w którym znajduje się PZPR i nasze państwo.

WALKA Polaków o odzyskanie niepodległości w XIX w. zyskiwała im liczne grono sympatyków. Ważną i nie zawsze dostrzeganą obecnie rolę odgrywali w tym gronie twórcy naukowego socjalizmu — Karol Marks i Fryderyk Engels. Swe zainteresowanie sprawą polską zaczęli oni przejawiać po wybuchu w 1846 r. powstania krakowskiego. Program powstańców, ogłoszony w Manifestie Rządu Narodowego z 22 lutego 1846 r., łączył walkę narodowo-wyzwoleńczą z rozwiązaniem sprawy chłopskiej. Uznanie dla treści Manifestu oraz kontakty z polską lewicą emigracyjną w Brukseli i Londynie, a zwłaszcza z Joachimelem Lelewalem, wpłynęły na bliższe zainteresowanie Marksa i Engelsa specyfiką polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego. W przemówieniu K. Marksa w drugą rocznicę wybuchu powstania krakowskiego padły więc znamienne słowa: „rewolucja krakowska dała całej Europie piękny przykład, utożsamiając sprawę narodową ze sprawą demokracji i z wyzwoleniem klasy uciskanej”.

Ocena Marksa, odnosząca się do istoty zrywu powstańczego, była w wielu punktach zbieżna ze stanowiskiem J. Lelewela. Współdziałali oni w Międzynarodowym Towarzystwie Demokratycznym oraz Niemieckim Towarzystwie Robotniczym. Obie organizacje głosiły hasła solidarności wszystkich uciskanych przeciw ich ciemiężcom, niezależnie od narodowości.

Marksa i Engelsa jako organizatorów i przywódcy ruchu robotniczego wprowadzili kwestię polską w krąg programowych i taktycznych celów klasy robotniczej. Podczas międzynarodowego wiecu, zorganizowanego w Londynie w 1847 r. dla uczczenia 17 rocznicy powstania listopadowego, Marks mówił o związku sprawy polskiej z celami ruchu robotniczego. W rok później na zebraniu w Brukseli w drugą rocznicę powstania krakowskiego Marks zakończył przemówienie słowami: „a więc znów Polska podjęła inicjatywę, ale już nie Polska feudalna, lecz Polska demokratyczna, i od tej chwili wyzwolenie jej staje się sprawą honoru wszystkich demokratów europejskich”.

Obserwacje poczynione nad powstaniem krakowskim wpłynęły na stanowisko Marksa i Engelsa wobec walk, które wybuchły w 1848 r. w Poznańskim. W artykułach zamieszczanych na łamach „Nowej Gazety Reńskiej” podkreślali międzynarodowe znaczenie sprawy polskiej, potępiali stanowisko parlamentu niemieckiego we Frankfurcie wobec Polaków, nawoływali do polsko-niemieckiego sojuszu rewolucyjnego. Sformułowali też tezę o rewolucji agrarnej jako jedynej drodze prowadzącej do obalenia „patriarchalno-feudalnego absolutyzmu w Europie wschodniej”. Dla Polaków miała to być droga do zrealizowania idei niepodległego państwa, które „musi zajmować co najmniej obszar sprzed 1772 r., musi mieć nie tylko dorzecza swych wielkich rzek, lecz i ich ujścia, i musi chociażby nad Bałtykiem posiadać duży pas wybrzeża”. Oddanie Polsce ziemi miało oznaczać nie tylko akt sprawiedliwości, lecz i cios wymierzony w potęgę reakcyjnych Prus, a więc w konsekwencji czynnik sprzyjający rewolucji niemieckiej. Stanowisko Marksa i Engelsa, sympatyzujące z walką Polaków

Marxs i Engels o niepodległości Polski

Stanisław Michałowski, Alicja Wójcik

o odzyskanie niepodległości, było wówczas bieżąco przeciwnie polityce klas posiadających i rządów państw niemieckich, niechętnych sprawie wyzwolenia Polski.

Klęski rewolucji 1848—1849 przyniosły rozczarowanie i krytyczne refleksje nad tymi wydarzeniami. Nie spełniły się nadzieje na zwycięstwo radykalnych sił w Polsce. Nie wybuchła tu rewolucja agrarna, która, zdaniem Marksa, mogła odegrać decydującą rolę w procesie rozniecania walk społecznych w Europie. Pojawiły się wówczas, zwłaszcza w pracach Engelsa, ostre nuty krytyki szlacheckich i feudalnych cech społeczeństwa polskiego oraz zwątpienie w możliwości rewolucyjnego polskiego ruchu niepodległościowego. Jakkolwiek w ówczesnej publicystyce Marksa tendencje takie nie znalazły odbicia, należy przypuszczać, że również on przeżywał okres ochłodzenia polonofilskich uczuć.

Sprawa polska ponownie zwróciła uwagę obu ideologów ruchu robotniczego w czasie powstania styczniowego. Wybuch powstania i proklamowanie przez rząd powstańcy uwłaszczenia chłopów na obszarze ziem polskich wzmożony propolskie sympatie twórców naukowego socjalizmu. 13 lutego 1863 r. Marks pisał do Engelsa: „jedno jest w każdym razie pewne, że era rewolucji znowuż do pewnego stopnia stanęła w Europie” i wyrażał nadzieję, że „lawa popłynie tym razem ze wschodu na zachód, a nie odwrotnie”. Równocześnie Marks proponował przyjacielowi, aby wspólnie napisali krótki Manifest do Niemieckiego Oświatowego Związku Robotniczego w Londynie, a także broszurę, w której ustosunkowaliby się do sprawy powstania i interwencji pruskiej w Polsce. Pretekst do wysunięcia tego rodzaju propozycji dało Marksovi zawarte 8 lutego 1863 r. z inicjatywy Bis-

marcka porozumienie Prus z Rosją (tzw. konwencja Alvenslebena) w sprawie współdziałania w zwalczaniu polskich powstańców.

W wydanej w końcu października lub na początku listopada odezwie, przygotowanej przez Marksa, Niemiecki Oświatowy Związek Robotniczy w porozumieniu z delгатem Rządu Narodowego informował o zbiorce pieniędzy na rzecz powstania wśród robotników niemieckich w Anglii, Szwajcarii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie utożsamiał sprawę polską ze sprawą niemiecką, gdyż „bez niezależności Polski nie ma niezależnych i zjednoczonych Niemiec, nie ma emancypacji Niemiec spod rosyjskiej hegemonii, która zaczęła się wraz z pierwszym rozbiorem Polski”. Wobec zdrady arystokracji i burżuazji niemieckiej w stosunku do narodu polskiego, który jako jedyny bronil Niemcy przed „zalewem moskiewskim”, odezwa stwierdzała, że „niemiecka klasa robotnicza powinna w imię swego stosunku do Polaków, do zagranicy, w imię swego własnego honoru wyrazić w tym tragicznym momencie donośny protest przeciwko zdradzie niemieckiej [...], która godzi jednocześnie w Niemcy i Europę. Odbudowanie Polski — oto hasło, które niemiecka klasa robotnicza płomiennymi zgłoskami musi na swym sztandarze wypisać, skoro burżuazyjny liberalizm to zaszczytne hasło ze swego sztandaru wykreślił”.

Szerzej o stosunku Niemiec do problemu odzyskania niepodległości przez Polskę zamierzał Marks napisać w przygotowywanej broszurze „Polska, Prusy i Rosja”. Niekorzystne dla polskiego powstania wydarzenia i przejściowa choroba Marksa sprawiły, że broszura ta nie ukazała się. Niemniej zachowały się rękopisy Marksa (los części pisanej przez Engelsa, a dotyczącej spraw wojskowych, jest

O polskich szkołach na Litwie i nie tylko...

W prasie litewskiej coraz częściej pojawiają się ostatnio artykuły poświęcone problemom narodowościowym tej republiki radzieckiej. Często są to wystąpienia o charakterze polemicznym. Niżej przekazujemy pełny tekst artykułu M. Butrymowicza — docenta z republikańskiego Instytutu Doskonalenia Zawodowego Nauczycieli — który ukazał się niedawno w dzienniku „SOWIETSKAJA LITWA”. M. Butrymowicz pisze w nim o problemach polskiego szkolnictwa na Litwie.

MIEJSCE i rok urodzenia każdego z nas, narodowość, kolor skóry i język ojczysty są określane przez ślepy los. Bardzo długo szczylił się tym, że w naszej republice nikt nie jest ograniczony w swoich prawach ze względu na przynależność narodową. Niemniej w ostatnich miesiącach w prasie republikańskiej, poddawany jest w wątpliwość sam fakt zamieszkiwania na Litwie Polaków. Niedwuznacznie stawiane jest pytanie: czy rzeczywiście są Polakami „tutejsi” Polacy, których rodzice nie mówią polskim językiem literackim, lecz miejscowym dialektem? Tymczasem niepodważalnym faktem jest to, że ponad połowa Polaków zdobywa wykształcenie w szkołach średnich nie w języku ojczystym. Cóż jednak innego mogą oni zrobić, jeśli weźmie się pod uwagę na przykład fakt, iż w naszej repub-

lice nie ma w ogóle szkół techniczno-zawodowych, w których wykładowy byłby język polski?

Tak — przyglęliśmy się do Rosjan. Przyglęliśmy się do nich — z tej prostej przyczyny, że lepiej rozumiemy się nawzajem (w dosłownym znaczeniu tego słowa). Nieraz przekonywałam się o tym, że niektórych Litwinów szczególnie drażni właśnie to, iż kultura i język ludności polskiej w większym stopniu poddane są wpływowi kultury i języka ludności rosyjskiej aniżeli litewskiej.

„Niemako narodów i narodowości, pozabawionych narodowej szkoły, znalazło się w tragicznym położeniu, ponieważ przerwano źródła ich kultury i znalazły się one na granicy unicestwienia”. Są to słowa dyrektora Instytutu Naukowo-Badawczego Pedagogiki naszej republiki, P. Beresniawiczusa, i współpracownicy tego instytutu, L. Tupikienė („TARIBINIS MOKITOJAS” z 5 października 1988 r.) Czy przypadkiem i my, Polacy,

rdzenni mieszkańcy Litwy (to nas nazywają „tutejszymi”, aborygenami itp.) nie zaliczamy się do tych, których należałoby wpisać do „Czerwonej Księgi”?

Na stronkach gazety „TARIBINIS MOKITOJAS” od trzech miesięcy toczy się dyskusja o losach ludności polskiej. 17 lipca bieżącego roku, jako pierwszy wystąpił ze swoimi „rewolucyjnymi” propozycjami — dotyczącymi doskonalenia systemu kształcenia młodego pokolenia byłej Wileńszczyzny — psychiatra W. Banaitis. Wystąpił on z wnioskiem, aby dzieci „tutejszych” uczyć w klasie pierwszej w dialekcie, tłumacząc wszystko z polskiego języka literackiego na język miejscowego żargonu.

Opierając się na swojej głębokiej wiedzy filozoficznej i poczuciu zdrowego rozsądku, godny odpór mijającym się z rzeczywistością poglądom W. Banaitisa dał nauczyciel jazuńskiejskiej szkoły średniej rejonu szalcinińskiego, dr nauk filologicznych J. Lebienka.

Najwięcej ze wszystkich „historycznej mgły” wprowadził do dyskusji W. Martinkienas („TARIBINIS MOKITOJAS”, 23 września 1988). W artykule tym zaszokowały mnie symptomy niezmiernego wzrostu egocentryzmu narodowościowego.

Zgadza się z W. Martinkienasem, że po wojnie było na Litwie bardzo mało polskich szkół: moje rodzone siostry, które w dzieciństwie nie знаły ani jednego słowa litewskiego, chodziły do szkoły z litewskim językiem wykładowym. Na siedemdziesięciu uczniów naszej szkoły było tylko troje dzieci narodowości litewskiej

z rodziny weterynarza, który przyjechał do naszej miejscowości. I chociaż o otwarciu szkoły z polskim językiem wykładowym walczyli nasi rodzice, W. Martinkienas twierdzi: „Mniej więcej w 1950 r. powiały inne wiatry. Polska Ludowa, która odziedziczyła po Polsce przedwojennej pretensje do Wileńszczyzny, pokrafiła wywalczyć to, że w republice zaczęło domagać się tworzenia nowych szkół polskich”. Z uczoną miną znawcy W. Martinkienas dodaje, że podstawowym motywem otwarcia szkół polskich we wschodniej Litwie był fakt, iż w tej części Litwy obywatele, którzy przez 20 lat znajdowali się pod polską okupacją, znali język polski. „Jednak sama znajomość języka to jeszcze nie powód do otwierania polskich szkół” — twierdzi W. Martinkienas.

Dlaczego W. Martinkienas przekreślił całe wieki dobrych sąsiedzkich stosunków narodu litewskiego i polskiego, a nawet ich przynależność do jednego państwa? Jak wiele jest żywych świadectw tego faktu? Na przykład w 1950 r. moje babcię — które wówczas miały blisko po siedemdziesiąt lat — nie znały ani jednego słowa litewskiego. Miałam bardzo dużo przyjaciół Polek, ale żadna z nich nie miała ani babci, ani dziadka, którzy mówiliby językiem litewskim. Czy rzeczywiście więc dopiero w ciągu dwudziestu lat „polskiej okupacji” nasi przodkowie nauczyli się mówić po polsku? Dziwię się, jak można tak lekceważąco odnosić się do historii narodu bliskiego Litwinom!

Nie można się też nie zdziwić, czytając zarzuty stawiane przez autorów niektórych artykułów pod adresem byłych pracowników litewskiego ministerstwa oświaty oraz obecnych przed-

Tygodnik „Literaturnaja Gazieta” zamieścił na całej kolumnie artykuł poświęcony osobie prof. Andrieja Sacharowa. Autor artykułu, Jurij Rost kreśląc sylwetkę intelektualną, naukową i polityczną Sacharowa, snuje równocześnie ogólniejsze rozważania nad klimatem moralnym i mechanizmami, które jego zdaniem sprawiły, że ten wybitny uczyony, wyprzedzający w swych poglądach własną epokę, musiał przeżyć najprawdziwszą gehennę. Z obszernego artykułu wybraliśmy głównie te fragmenty, które dotyczą bezpośrednio A. Sacharowa, przekazując je częściowo w omówieniu.

Gehenna Andrieja Sacharowa

równać do tych ludzi. Rehabilitacja jest wyrazem skrucy całego społeczeństwa wobec niewinnych ofiar, uśmierconych lub nie wysłuchanych. Ta skrucy z kolei rehabilituje samo społeczeństwo, niektórym daje możliwość upewnienia się, że uznawane przez nich wartości są właściwe, wielu innym — możliwość zrewidowania własnej skali wartości, zaś większości — możliwość uświadomienia sobie, że takie wartości w ogóle istnieją.

Czas najwyższy pomyśleć o tym, na ile odpowiada prawdzie zdanie wypowiedziane przez pewnego uczestnika „telemostu” Moskwa — Tokio, młodego, całkiem sympatycznego chłopaka, który na pytanie „Dlaczego tak źle odnosicie się do Andrieja Sacharowa?” odpowiedział: „Ponieważ jest on wrogiem narodu radzieckiego i całą swoją działalnością wyrządził szkodę naszemu krajowi”. „Telemost” odbył się chyba już po powrocie profesora do Moskwy, ale istoty rzeczy to nie zmienia, bowiem od 1973 r. wbijano nam do głowy takie właśnie oceny jego działalności, nie rozpieszczając przy tym nadmiarem konkretnych informacji.

Tymczasem zaś Andriej Sacharow był i jest rosyjskim inteligentem, wiernym idei walki o sprawiedliwe społeczeństwo dla ludzi, nawet jeśli ci ludzie — wskutek dezinformacji pozbawieni możliwości przekonania się o jego szczerych intencjach i czystości moralnej — sami walczyli przeciw Sacharowowi — rzecznikowi ich wolności. Sacharow może się mylić, jak może się mylić każdy czło-

wiek; może dać się przekonać, jeżeli komuś wystarczy argumentów; nie może jednak sprzeniewierzyć się własnym poglądom.

Sacharow przyszedł na świat w rodzinie rosyjskich inteligentów, którzy bogactwo ducha cenili wyżej niż wszystkie inne bogactwa. Gdy w 1942 r. ukończył Uniwersytet Moskiewski, nie poszedł drogą kariery naukowej, lecz powędrował do zakładów zbrojeniowych na Powożu, gdzie wymyślił wiele rzeczy bardzo przydatnych dla frontu. Po wojnie, na aspiranturze w Instytucie Fizyki u Igora Tamma bez wahania włączył się do prac nad dziełem, którego znaczenie dla Ojczyzny trudno przecenić. Jego udział w konstruowaniu broni termojądrowej w znacznej mierze zdecydował o sukcesie całej sprawy. Wspólnie z Tammem był autorem koncepcji, które stały się podstawowe dla uzyskania kontrolowanej reakcji termojądrowej i dziś w postaci urządzenia Tokamak służą do prac naukowych na całym świecie.

Sacharow uczestniczył z powodzeniem w realizacji projektu atomowego i nie dręczył go przy tym „kompleks Openheimera”. W lipcu 1953 r. w wieku 32 lat bronił pracy doktorskiej (12 sierpnia tegoż roku przeprowadzona została pierwsza doświadczalna eksplozja bomby wodorowej), w październiku zostaje członkiem rzeczywistym Akademii Nauk ZSRR, zaś w grudniu otrzymuje Order Bohatera Pracy Socjalistycznej i Nagrodę Stalinowską. Pracuje nadal nad bronią termojądrową i zapewne spełnia w tych pracach czołową rolę,

jeżeli po dokonanej w 1955 r. próbnego eksplozji bomby wodorowej o gigantycznej mocy marszałek Niedzieln na poligonie doświadczalnym właśnie jemu pierwowzoru proponuje wzniesienie toasty za sukces. Sacharow wznosił kielich i wypił za to, aby „wyroby” pomyślnie eksplodowały nad poligonami i nigdy nie wybuchaly nad spokojnymi miastami. Rok później, będąc już dwukrotnym Bohaterem Pracy Socjalistycznej i laureatem Nagrody Leninowskiej, wspólnie z prof. Kurczatowem włącza się czynnie do walki przeciwko przeprowadzaniu prób z bronią jądrową w powietrzu, na lądzie i pod wodą. Pisał o tym tak: „Próbując wyjaśnić to zagadnienie napotkałem ogromne trudności, nie chciało mnie zrozumieć. Pisałem raporty (jeden z nich spowodował wyjazd Kurczatowa na spotkanie z Chruszczowem w Jaltie, gdzie profesor bezskutecznie usiłował uzyskać odwołanie prób przewidzianych na 1958 r.), występowałem na konferencjach”.

Latem 1961 roku na spotkaniu uczonych-atomistów z Chruszczowem prof. Sacharow podaje do siedzącego w prezydium najmłodszego człowieka w państwie zapiskę następującej treści: „Wzniesienie próbnych eksplozji po trzyletnim moratorium storpeduje rokowania w sprawie zaprzestania prób i w sprawie rozbrojenia, spowoduje nową rundę wyścigu zbrojeń...”. „Nie byłbym przewodniczącym Rady Ministrów lecz mazgajem, gdybym słuchał takich ludzi jak Sacharow” — powiedział Chruszczow na obiedzie po spotkaniu. W następnym, 1962 r. ministerstwo poleciło przeprowadzić kolejną eksplozję próbną, która z technicznego

TERAZ, kiedy myślenie stało się procesem może nie zawsze przynoszącym rezultaty, lecz w każdym razie nie stwarzającym niebezpieczeństwa, ze szczególną uwagą powinniśmy wpatrywać się w twarze ludzi, którzy myślą i rozmyślają nie przestawali nigdy. Wielu z nich — niegdyś opluskanych, represjonowanych, uśmierconych — dziś „powraca do szeregów”. Tak właśnie wyobrażamy sobie niekiedy proces rehabilitacji, zapominając, że to nie poglądy tych ludzi się zmieniły, nie ich sposób myślenia czy podejście do wydarzeń, to nie oni powracają do naszych szeregów — to nasze szeregi zaczynają

Estonia...

Dokończenie ze str. 5

który domaga się rewolucyjnych zmian w sposobie kierowania tą niewielką republiką nadbałtycką. [...]

Z niewielką liczbą ludności, tradycyjnie wyteżoną pracą i stosunkowo wysokim poziomem życia, po zachodniemu wyglądające republiki nadbałtyckie — Estonia, Łotwa i Litwa — są doskonałymi poletkami doświadczalnymi dla przemian politycznych i gospodarczych. Nie jest jednak całkiem jasne, czy nadbałtycki eksperyment można przenieść do mniej rozwiniętych i bardziej konserwatywnych części Związku Radzieckiego, jak np. środkowo-azjatycka republika Uzbekistan, gdzie opór wobec przemian w stylu Gorbaczowa jest silny.

Obecnie estońska telewizja codziennie przeprowadza wywiady z dysydentami mówiącymi rzeczy, które jeszcze nie tak dawno zaprowadziłyby ich do więzienia. W zorganizowanej w stolicy Estonii Tallinie manifestacji na rzecz poparcia dla Frontu Ludowego wzięło udział aż 300 tys. ludzi, czyli 1/5 mieszkańców republiki. Niebiesko-czarnobiała przedwojenna flaga niepodległej Estonii została oficjalnie przywrócona jako symbol republiki. [...]

„Nazywają to śpiewającą rewolucją” — mówi Hanno Runnel, jeden z najpopularniejszych poetów estońskich, podczas przerwy w 2-dniowych obradach kongresu założycielskiego Estońskiego Frontu Ludowego. Nawiazął on do festiwalu piosenki, który odbył się latem i w czasie którego setki tysięcy Estończyków śpiewało patriotyczne pieśni i powiewało tradycyjnymi 3-kolorowymi chorągiewkami, dając upust uczuciom narodowym.

Jednak określenie „śpiewająca rewolucja” może się także odnosić do nagłego uczucia ulgi, jakie pojawiło się po latach represji politycznych. Rem Blum, wybitny politolog estoński, zgadza się, że ostatnie wydarzenia w Estonii można określić jako rewolucję. Dlatego, że presja na dokonanie zmian jest wywierana z dołu, co pozostaje w wyraźnej sprzeczności z tym, co dzieje się w większości rejonów Związku Radzieckiego, gdzie naciski te pochodzą z góry.

„To, co obserwuje się tutaj, to autentyczny masowy ruch od dołu do góry — mówi on. — Takie masowe ruchy nie istnieją gdzie indziej w ZSRR poza Armenią, ale tam sytuacja polityczna jest całkiem inna. Ich zainteresowanie całkowicie skupiło się na Nagorno-Karabachii”.

Ponowne narodowe przebudzenie się Estonii charakteryzuje się spontanicznością, walką o władzę polityczną i poczuciem wolności, które jest wynikiem zerwania z politycznymi i społecznymi tabu.

Poza 60 tys. aktywnych zwolenników, którzy należą do lokalnych „grup inicjatywnych”, Front Ludowy cieszy się — zdaniem jego przedstawicieli — sympatią pół mln Estończyków. Członkowie partii komunistycznej stanowili 22 proc. delegatów na kongres założycielski. Była wśród nich większość jej nowo wybranego kierownictwa.

Jednak, jeśli jest to rewolucja, to jest to rewolucja niezwykła. „Rewolucjonści” w większości nie są robotnikami czy radykalnymi studentami, ale przedstawicielami pracującej klasy średniej, zniechęconymi złym zarządzaniem gospodarką, pogłębiającym się kryzysem ekologicznym i niekontrolowanym napływem Rosjan do Estonii. [...]

„To co się dzieje wokół można jedynie tłumaczyć jako wolę Boską — mówi Hanno Arrak z Estońskiej Partii Niepodległości. — Nie jestem wierzący,

ale nie potrafię znaleźć lepszego wytłumaczenia”. [...]

Przywódcy Frontu Ludowego są jednocześnie świadomi, iż powściągliwość jest konieczna. Prywatnie krytykują oni Ormian za to, że wysuwają niemożliwe do zaakceptowania żądania pod adresem Kremla. Podkreślają także, iż ruch „Solidarności” w Polsce w latach 1980—1981 nie zdołał osiągnąć swych celów, ponieważ jego przywódcy stracili poczucie realizmu.

Niewielkie rozmiary Estonii — ogółem liczba ludności wynosi 1,5 mln łącznie z Rosjanami i przedstawicielami innych narodowości — wyróżniają ją wśród innych, liczących więcej ludności części Związku Radzieckiego. Kreml tradycyjnie już jest bardziej skory tolerować eksperymenty w republikach nadbałtyckich niż w innych.

Innym czynnikiem wyróżniającym Estonię są jej demokratyczne tradycje. W latach 20. i 30., kiedy Stalin wprowadził swą dyktaturę w Związku Radzieckim, republiki nadbałtyckie były niepodległymi, suwerennymi państwami. Po niespełna 50 latach rządów radzieckich demokracja z większą łatwością przychodzi ludności nadbałtyckiej niż innym obywatelom radzieckim.

Wreszcie wyróżnia Estonię jej położenie geograficzne. Leży ona w zachodniej części Związku Radzieckiego, a od stolicy Finlandii — Helsinek — Tallin dzieli zaledwie ok. 100 km. Estończycy rozumieją fiński, który należy do tej samej grupy językowej co estoński. Jeszcze przed „glasnością” mogli otrzymywać obiektywne informacje o tym, co dzieje się w ich własnym kraju, oglądając fińską telewizję.

„Jesteśmy małym narodem, a psychicznie czujemy się obywatelami świata — mówi Runnel. — Kiedy patrzymy poza granice, widzimy Skandynawię. Inaczej jest z innymi narodami radzieckimi. Jeśli chcą być one obywatelami świata, ich pierwszym punktem kontaktowym jest Rosja”.

MOWI się, że łatwiej im studiować — mają lepsze warunki mieszkaniowe, brak wiedzy tłumacza nieznajomością języka, wobec czego dość często uchodzą im to na sucho, mają też więcej pieniędzy (także dolarów), odpadają im zatem kłopoty z utrzymaniem się. Z tego samego powodu nie muszą zbytnio zabiegać o przychylną dziewczyn, co często jest przyczyną zawiści wśród Polaków i w dalszej konsekwencji — źródłem izolacji obcokrajowców. Do dziś wspomina się grupę studentów amerykańskich, którzy kilka lat temu bawili na stypendium w UMCS. „Bawili” dosłownie — ze swojego niczym nie ograniczonego dostępu do waluty zrobili prawdziwy czarny rynek, a półroczny pobyt w Polsce wykorzystali na zwiedzenie całego — tak atrakcyjnego dla nich — wschodu Europy. Jedynie do Związku Radzieckiego nie udało im się pojechać, i to tylko dlatego, że nie dostali wiz. Już pierwszego dnia odnaleźli drogę do sklepu monopolowego, która z czasem stała się ich stałą trasą. Szczególnie upodobałi sobie podobno „Zubrowkę”. Ich pokoje pełne były rozrzuconych, brudnych rzeczy, płyt, pustych butelek, nie dokończonych posiłków. Brakowało tylko porządku.

Tyle wspomnień. Studenci stacjonarni pochodzenia zagranicznego studiujący na UMCS mieszkają w akademiku „Ikar” w miasteczku studentkim i przy ul. Zana. Pochodzą głównie z Bliskiego Wschodu i Afryki. Można ich spotkać prawie wszędzie, gdzie odbywają się zajęcia i imprezy organizowane przez bractwo akademickie. Trudno jest jednak powiedzieć o nich, że biorą w życiu studentkim czynny udział. Po prostu są.

Khalida i Akrama spotkałem pod „Ikarem”. Wyszli właśnie z samochodu („Zastawa” bez oznak świeżości). Wrócili z sobotnich zakupów —

Michał Bogdański

★ ★ ★

tańczyłem pamiętasz
ze mną
cała wiosna
ubrana wspomnieniem
dionizyjskich pochodów

ten taniec przypomnij sobie
z nami marzenia
rozrzucone w dźwięki
nad osiemnastowiecznymi grobami

nie możesz zapomnieć
że kiedyś razem
uzmogliśmy kraj a z krajem
złiszczą i marmury

już nikt nie zapomni
że pieściłem ciebie
swoją piosenką
i wiatrem
w wilgotnej jaskini
gdzie rosa
obmywała brud naszych dłoni

★ ★ ★

chcesz
opowiem ci o mojej ojczyźnie

ale daj mi słowo
to ważne
że płakać nie będziesz

Artur Przystupa

ucieczka z krzyża

jutro muszę uciec
z tej świątyni
gdzie jeszcze uprawiam kult
samego siebie
choćby po to by nie zdechnąć
z głodu
by jej nie rozbić
z braku papierosów

jeszcze nie potrafię
opowiadać o samotności
bogów
jeszcze żadna dziwka
nie przyszła prosić bym odpuszcili
jej grzechy
zawiodłaby się
strach to wszystko co mam

★ ★ ★

chciałbym modlić się do Ciebie
właśnie teraz
kiedy lustro zaczyna odmawiać
posłuszeństwa

i mówi prawdę
pod moim oknem tłoczą się
pragnący semsty wierzyście

ma pieniądze sprzedał
swoją świętość
i kardynalską purpurę

modle się do Ciebie
krwawymi zaklęciami
przekleństwami
nie pamiętam Słowa
modle się moim ciałem

★ ★ ★

dłaczego kocham
dziewczynę w wielkich kapeluszach

jaki mam wyraz twarzy
kiedy je mijam
przecież wtedy myślę
o ich ruchach
które stają się miękkie
nagle

pod moim wzrokiem

później opowiadają
swoim brzydkim

przyjaciółkom
o erotomanach
spotykanych na każdym
kroku

myślę o tym wszystkim
kiedy zaczynasz się rozierać
wielki kapelusz kładąc
jak najdalej

frederique

jestes porcelanową figurką
tańczącą do melodii
z pozytywką
wcale nie chce
uczyć ci mówić
tańcem opowiadać mi
o swym pragnieniu

moja porcelanowa frederique
w końcu zatrzymasz się
z ust czytasz o moim pożądaniu
zaczynasz układać moje włosy
w wiersz
i znów tańczysz
moja jedyna frederique

Magdalena Jankowska

babeia

przestali jej doglądać najbliżsi
w pozłacanych ramach
kolorowe wspomnienia
odleciały na perskich dywanikach
srebrne łyżeczki pociągnęły w kluczu
kapelusze zagnieżdżyły się na głowach wnuczek
przed zimą uciekły lisy wydry piżmaki
tylko puste wieszaki poruszone tym drżały
nawet szafa odwróciła się do niej plecami
znikając w bagażowce
zostały puste podróżne walizy
dlatego odeszła tak lekko

dzieciństwo

garsteczka piasku
i za wysoki płot

nad nim promienny
nieczym uśmiech matki
słonecznik
zachmurzony czasem
tylko stadem wróbli
zimą jeszcze mniej
a przecież stamtąd znam
niepowtarzalny smak
nadgryzionego jabłka
wszechwiedzy
to jednak musiał być
raj

atak

obudził mnie brutalnie szarpiąc za ramię
szturchając pod lewe żebro — chciałem krzyknąć
wolać jakieś bliskie imię a tu: bóg
zamknął się w starym testamentie nie dosłyszysz
i niczego nie czuje przez skórę
okładki rodzice wygnani z raju

dzieciństwa zawędrowali do ziemi
obiecanej nie ma tego który prosił
ty zawsze przy mnie stój opadły skrzydła
temu co chodzi w błękitach
zapinanym ma metalowe guziki
spadł śnieg a po tamtej zimie
przyjaciele odlatują
do wybranych krajów
i wiedziałem
że żyć tak mogę
ale nie umierać...

próba ratunku

jeszcze raz się obronię strasznie podłą rolą
bardzo lichą sztuczką dawno wyuczoną

jeszcze raz ogniem naleję powietrze
zaczepnę z niego chłodu raz jeszcze
i chociaż nie zgasną ściskając do mroku
to cień szklanej gwiazdy zatrzyma w pół kroku

Kulturowe podroby

DEBIUTANCKIEGO tomu opowiadań „Podroby” poznania Marka Zgaińskiego (rocznik 1961) nie sposób oddzielić od kontekstu jego dotychczasowej twórczości poetyckiej („Chmury z desek”, MAW, 1986; „Doskonały nieznamy”, Wyd. Poznańskie, 1986). Poezja i proza Zgaińskiego mają bowiem nie tylko wspólny mianownik problemowy, ale nado oparte są na analogicznych, jeśli wręcz nie tożsamyh koncepcjach kreowanego bohatera. Owa tożsamość podmiotu liryki Zgaińskiego z narratorem jego opowiadań, zebranych w omawianym tomie, najwyraźniej ujawnia się na płaszczyźnie kulturowo-etycznych wartościowań. Słusznie ongiś zauważył Maciej Chrzanowski, iż „Zgaiński jest moralistą stale konfrontującym swój system etyczny z porządkiem świata, w którym przyszło mu żyć”. Autorskim credo tej postawy może być, moim zdaniem, następujące, nieco przekorne wyznanie: „Wiem, że to nie ma większego sensu, ale z uczciwości uczyniłem (na mój prywatny użytek) kategorię estetyczną”. Pochodzi ono z autorskiego wstępu do debiutanckiego arkusza poetyckiego „Chmury z desek” i mimo wyrwania go z kontekstu, stanowi w moim przekonaniu „nerw” literackiej pasji Marka Zgaińskiego.

„Podroby” to blok 16 opowiadań. Niektóre z nich dopełniają się treściowo, jak np. „Ostatnie takie trio” i „Ostatni taki duet”; inne, np. „Chłód”, „Ciemięga”, „Dziura”, wykazują zbieżność czasową fabuły (okres nauki szkolnej i uczelnianej); jeszcze inną grupę stanowią opowiadania o wyraźnej psychologicznej dominancie — „Długo”, „Aktor”, „Jutro? Za rok...”; można by nadto wreszcie wskazać na kilka opowiadań uderzających żywo i barwnie oddanym kolorytem wielkomiejskiego życia uliczno-podwórkowego — tak jest w „Oknie” i „Jeździe bez trzymanki”. Powyższe „grupowania” mają co najwyżej charakter ogólnoinformacyjny, nie zaś systematyczny, o czym przesądza dwa fakty. Po pierwsze, podziały te nie spełniają istotnego metodologicznego warunku rozłączności. Po wtóre, znając z wcześniejszych lektur czas publikowania większości z zebranych w tomie opowiadań, dostrzegam w jego układzie zasadę chronologiczną.

Kulturowa alternatywa to dla świadomości narratora opowiadań Zgaińskiego istny fetysz. Ale powiedzmy od razu, że fascynacja nim nie polega na bezkrytycznym poddaniu się jego magicznej mocy. Przeciwnie — narrator ów, nie znalazłszy w subkulturze właściwego sobie miejsca, podejmuje się demistyfikacji jej idei, idealów, symboli etc., które po „wulgarniej” refleksji stały się kulturowymi podrobami. A zatem wspomniana fascynacja ma charakter negatywny. Pierwszoplanowym przedmiotem świadomości narratora (głównego bohatera, Roberta) jest obraz pokoleniowej katastrofy świadomości zwróconej ku kulturze alternatywnej czy pop-kulturze, tak czy inaczej ku kulturze ostatecznie komercyjnej.

Ciągle żywa, głęboko uświadomiona przez bohatera pokoleniowa klęska, zarówno w wymiarze psychicznym, jak i społecznym, skłania go do przyjęcia postawy duchowego wygnania, zbuntowanego wędrowca i utalentowanego trubadura undergroundu, dla którego sztuką jest jego własne życie, życie bez wielkich aspiracji karierowych, podporządkowane trzem wartościom: wolności, prawdzie i miłości. Bohater ów nie ukrywa swych klęsk, zwłaszcza w miłości, lecz mimo to nie przestaje wierzyć; rzec można, iż walczy o miłość:

„Nie chcę się z tobą kochać. Chcę cię kochać. Nie zabieraj mi tej szansy. Zaufaj mi i postaraj się poczuć coś więcej niż senność i obojętność. Wierzę, że jest jeszcze droga powrotu do naszych prawdziwych osobowości. Staniemy się takimi ludźmi, jakimi byliśmy przed przybyciem tutaj”.

Miłość musi się oprzeć na wolności i prawdzie, przeto nie dziwi fakt, że w tych właśnie sferach bohater prozy Zgaińskiego jest nader aktywny i konsekwentny w obronie i poszerzaniu swojej niezależności i godności. I w tym oto kontekście najpełniej objawia się sugerowane przez Chrzanowskiego automoralizatorstwo Zgaińskiego.

Język narracji Zgaińskiego bogaty jest w swej metaforyce, jak i potocznej dosadności psycho-fizycznych intuicji. Wynika to z faktu, iż życie autora i jego literaturę — jak cytowałem na początku — łączą więzy głębokiej szczeroci.

W twórczości Marka Zgaińskiego czegoś mi jednak brakuje. Jego liryka i proza sytuowane są w kontekście psycho-socjologicznym. Brakuje mi refleksji filozoficznej nad proponowaną problematyką, jej metafizycznego ugruntowania. Racje ma Marek Obarski, twierdząc, że „twórczość poetycka i prozatorska Marka Zgaińskiego wyraża się w aspiracji poznawczych i pasji „outsidera”... Czy jednak racje poznawcze, będące notabene aspektem jedynie punktu wyjścia tej twórczości, są wystarczające? Sądzę, iż wymagają głębszego ujęcia, uzupełnienia. Tego autorowi, czytelnikom i sobie szczerze życzę.

Zenon Cieślak

Mark Zgaiński, „Podroby”, MAW Warszawa 1988.

KOMUNIKATY

W czerwcu br. w Oleku odbył się XII Ogólnopolski Konkurs Literacki zorganizowany przez Suwalski Ośrodek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Jury w komunikacie podkreśliło dobry poziom nadesłanych zestawów poetyckich i prac prozatorskich. Tym bardziej cieszy pierwsza nagroda w dziedzinie poezji, przyznana członkowi naszego Klubu, Stanisławowi Sadurskiemu. Drugą otrzymał Roman Senski. Przyznano również pięć wyróżnień: Karolowi Maliszewskiemu, Markowi K. Sobczakowi, Hannie Kowalewskiej, Emilowi Cieli, Edwardowi Popławskiemu. W dziedzinie prozy I nagrodę otrzymał Jerzy Rutkowski, a wyróżniono prace Hanny Kowalewskiej i Lucjana Zuzi.

Korzystając z okazji, pozdrawiamy Suwalski Ośrodek KKMP w związku z dziesięcioleciem działalności.

Podczas tegorocznego Piastowskiego Lata Poezji w Gnieźnie nasz kolega, Artur Przystupa, otrzymał II nagrodę w konkursie poetyckim.

Natomiast Marka Danielkiewicza wyróżniono na Warszawskiej Jesieni Poezji 88.

Gratulujemy!

Redagują: Urszula Gierszon, Bogumiła Sobótka, Marek Danielkiewicz, Adam Kalbarezki, Artur Przystupa, Zenon Cieślak.

Totalny labirynt

Dokończenie ze str. 1

Ciekawi przy tym, dlaczego nasze dzielne trio: „LMR” nie przyłożyło biurokracji radzieckiej, która faktycznie zabalaganila sprawę? Dlaczego ustrojone w kostium wszechkompetencji, nie wypowiedziało przy okazji naszym przyjaciółom zza Buga, że nie wydali dotąd obiecanego katalogu moskiewskiej wystawy „Sztuka polska w 40-leciu PRL”, która odbyła się cztery lata temu? I dlaczego popluło troszeczkę na CBWA za niewydanie katalogu „Labiryntu”, skoro wiadomo, że coś takiego drukuje się u nas minimum pół roku?!

W odpowiedzi można by wskazać, że oto ujawniły się: niewiedza, zła wola, zaiop czy nawet rusofilstwo w nowej redakcji. Po prawdzie jednak, to stała się tylko „rzecz nieprzyjemna”, na domiar wszystkiego — na zupełnie innym polu.

Okazało się bowiem, że krytycy CBWA i apologety „Labiryntu” jakoś zdawkowo potraktowali samą wystawę młodego malarstwa moskiewskiego.

Pan Rudomino machnął w „Kulturze” krótki tekścik ogólnikowo-historyczny, w którym na wyróżnienie zasługuje może tylko jedno stwierdzenie: „Młode malarstwo radzieckie jest — nie da się ukryć — kosmopolityczne”. Widać przynajmniej, że autor na serio traktuje głośność i nie zamierza ukrywać nawet tego, co oczywiste.

Ja też nie ukrywam zdumienia, że cytowany przez Rudomina Flodor Łastoczkin napisał na łamach „Moskowskie Nowosti” to samo, co Wasilij Zisuńko w czasopiśmie „Sowietskaja Kultura”, którego krytyk z warszawskiej „Kultury” chyba nie miał przyjemności poczytać, albo zechciał pomieszać nazwiska w natłoku obcojęzycznych lektur, stanowiących jego wyraźną pasję. Niewykluczone przecież, że Łastoczkin to Zisuńko.

Z kolei pan Matynia — nie powiem, jak na „Odrodzenie” dał rzecz pokazną, złamaną w wyniosłym pionie, liczącą nawet z sześć stron znormalizowanego maszynopisu, przeciętą w poprzek

wzruszającą reprodukcją obrazu Aleksandra Zacharowa „Księżniczka-labędi”, który wraz z pozostałymi malowidłami owego artysty wydobyl z trzewi pana Lessmana takie pierwszorzędne refleksje moralno-egzystencjalne: „Straszny świat, straszne polowania, straszni ludzie o oblesnie zadowolonych twarzach. Na tle strasznego pejzażu polują na co się da. Ta koszmarna bajka może się przysnąć...”. Owszem, potwierdzam intuicję p. Lessmana: miałem sen, w którym hydra pod tytułem Przenikliwość Interpretacyjna uganiała się z widelcem za autorem z „Przekroju”...

Pan Matynia, niech go PRON wynagrodzi, pogodził w swoim tekście wszystko: cytaty obszernie, myśli własne i autokrację na instytucję wstydzającą się za polskich czynowników:

„Wstydzę się przed komisarzami wystawy Jeleną Kuriandcewą, Witalijem Paciukowem, Siergiejem Szczegłowem i Aleksandrem Zacharowem za naszych urzędników »od kultury«. Okazało się po raz któryś z rzędu, że aby stworzyć nowy porządek nie należy »rezać« bogatych, ale należy zacząć od głupich. Głupi bowiem szybko się bogaci, a nie przestaje być głupi, i przez to groźny”.

Logika Matyniowej inwokacji może poruszyć dwunastnicę ucznia Ajdukiewicza, Cieszkowskiego i ks. Kamińskiego, ale niestety zawiera sprzeczny z intencją pisarza postulat, że rezanie należy jednak zaczynać od bogatych, bowiem wśród nich i tak znajdują się głupi, a przez to — jak słusznie wreszcie wyznaje autor — groźni. Jeśli oczywiście głupi, taki naprawdę głupi, taki biedny debil, może być groźny dla kogoś poza sobą. Naturalnie, sprawa jest skomplikowana, nadzieja wszak w tym, że p. Matynia głosi (znów głośno): „Myśl tę chętnie rozwijaj przy innej okazji”. Widać w tym konsekwencję i dezynwolturę rasowego gentlemana, żywcem wyjętego z „Klubu Pickwicka”. To lubię, rzeknę za Wieszczem.

Publikacja pana Matyni jest poza tym nie wolna od sprostrzeń traf-



Od 2 do 9 grudnia trwały „Dni Rosyjskiej Federacji w Polsce”. Z tej okazji w Domu Nauki i Kultury Radzieckiej w Warszawie otwarto wystawę malarstwa rosyjskiego, na której znalazł się i ten reprodukowany wyżej obraz z 1775 r.: „Portret Płatona Lewszina”, autorstwa Antropowa.

Powrót do Wańkowicza

Dokończenie ze str. 1

zmianie i że to na pewno ten sam kąt Warszawy i że nie mogę się mylić. Nie wiedziałem tylko — choć nie było to trudne do przewidzenia — że Zolibrz się rozciągnął, obrósł nowymi placami i że nawet ówczesny „daleki Zolibórz” był naprawdę odległy od placu Dzierżyńskiego. Tam właśnie, pod lukowatym sklepieniem bramy spotkałem człowieka, którego postanowiłem zagadnąć. Miał ciemną czapkę-„maciejówkę”, siwe włosy i profil zupełnie podobny, tak, właśnie, do — mistrza Melchiora. Gdzieś pod nogami pałętał mu się mały, czarny pies.

— Dziennikarska, Dziennikarska, aha, już wiem. To będzie na Zoliborzu, za placem Wilsona. Tam przed wojną mieszkał Strumph-Wojtkiewicz i ten...

— Melchior Wańkowicz.

— Tak, Wańkowicz. Pamiętam, teraz pamiętam. Stamtąd wyszła jego córka w pierwszy dzień Powstania i zginęła. Musi pan iść prosto tą ulicą, wsiąść w tramwaj 6 lub 36 i dojechać do placu Komuny Paryskiej. Stamtąd to już niedaleko. Tak, tak, Wańkowicz.

Dudy — przyszli rodzice — brały żywy udział w budowie domu. Rodzice starali się wyobrazić sobie, jak też doczekawszy się w tym domu wnuków, będą sobie wspominali te rozważania, czy ma być okno tu, czy gdzie indziej i kiedy tak zabawnie będzie myśleć, jakże to w ogóle gdzie indziej mogłoby być to okno, niż jest.

Tramwaje przystają dobry kawałek przed placem. Teraz ta właśnie arteria zamknięta jest na przejazd pani Thatcher. Ludzie gramolą się na zewnątrz niechętnie. Jeszcze nie wiem, że po prawej ręce mam właśnie ów park Żeromskiego, który pomagały zadrzewiać także wańkowiczowskie „Dudy”. Na chodniku, na skraju Krasińskiego, stoja radiowozy.

— Przepraszam, jak mogę stąd trafić na Dziennikarską?

— Dziennikarska? To panu chodzi o tę przychodnię przy Tucholskiej?

— Nie. Chodzi mi po prostu o Dziennikarską.

— A, to tam. Druga po lewej stronie, za tym dużym domem.

Dziecinnych architektów korciło, że dom z trzech stron optyniety ogrodem, jednym bokiem jest przyklejony do dużego bloku dziennikarskiej kooperatywy.

— Albo go odespcie, albo odlepcie, albo oderwijcie, albo odłąccie, albo odetnijcie, albo odedzycie, albo odłamcie — recytowała Tili, która się w danej epoce popisowała bogactwem synonimów.

Nie trafiłem jednak na Dziennikarską od razu. Pogubiłem się w zakrętasach uliczek, przy których domy zniżały się, połyskiwały wieloletnią zapobiegliwością, gdzie na chodnikach pyszniły się toyoty i fordys. Kolejny zakątek Warszawy, jak na Saskiej Kępie czy Mokotowie, gdzie wille wynajmuje się ambasadom i polonijnym spółkom. Tuż pod bokiem wielkich ulic z rojem smętnych ludzi i nędznych sklepów — dotyk odległego świata. Na trawnikach wiatr przerzuca zeschnięte liście. Młoda matka toczy w dół ulicy dziecięcy wózek.

— Dziennikarska? To gdzieś tutaj. No, widzi pan, codziennie tamtędy chodzę, a teraz nie wiem. Niech pan zapyta kogoś innego.

Wiem, że to gdzieś tutaj. Czuję przecież wilgotny oddech rzeki na twarzy, widzę rozszemielone teraz sady, drogę zamyka mi wysokie ogrodzenie — „Ogródki działkowe”. To musi być tutaj. Stąd rozpoczynała się przecież kajakowa wyprawa na tropienie Smętka.

Niebawem, przy ciągłym narastaniu Zoliborza, powstał Klub Sportowy na Wiśle. Klub stał się drugim domem. Szło się do niego w piżmachach, w szortach, w płaszczach kąpielowych. Grało się w tenisa, w siatkówkę, a nade wszystko — pluchało się w wodzie. [...] Największą jednak atrakcją był kajak. Srebrzysty, gumowy składak typu „piast” z wypisaną na dziobie nazwą KUWAKA.

Przystaje. Czuję teraz jakby wyraźniej to życie, do którego otrzymaliśmy wstęp tak pełny. Które dzięki słowu wypełniało się szczegółami i detalami, bolącymi najdotkliwiej, gdy jakiejś części życia zabraknie. Życie opowiedziane bez drobniaków jest martwe, jest jak życie niczyje. Ot, był sobie człowiek. Ktoś powiedział kiedyś, że

miłość to nie pasja, a jedynie szczególny gest czyjejś ręki i pochylenie głowy w mroku. Tu gdzieś, teraz już w zaprzeszczości, biegaly Tili i Krystyna, przesuwała się korpulentna sylwetka „ostatniego szlachcica Rzeczypospolitej”, zajeżdżał prychający samochód „Kacperek”, sianiał się na potężnym kacu „Migdałowy Król”. Dobry sobie wybrałem czas na powrót, jesienny czas, gdy dławia nas inklinacje do tropienia cieni. Oddycham tym kawaleczkiem miasta, który i wówczas musiał pachnieć tak samo, bowiem pachnienie świata potrafi być trwalsze od przemijania czasu.

Dobrze było harcować bosymi piętami po nie ogrodzonym jeszcze parku, zapuszczając się na pustacie wiślane, błądzić w wyprawach odkrywczym uliczkami Marymontu [...]. Dobrze było po takiej wyprawie leżeć na dywanie w bibliotece przy ogniu buzującym na kominku. [...] Albo wyłazić na płaski dach domu przez kwadratowe okienko, zostawiając na dale piszczącego pod drabiną Gawła i patrzeć „z góry” na osiedle, jak pan Riedel statecznie z teczka idzie do banku, jak Wąz, wyskakujący „aby na chwile” po liść bobkowy, dziwnie się, że mu ktoś na sam nos spuścił kawałek tynku i nie wie skąd. Dobrze było zmyrgać do klubu...

Dobieram się do Dziennikarskiej gdzieś w polowie jej długości, na wprost niskiego, grubościennego bloku, ani chybi sprzed wojny. Może to właśnie owa „dziennikarska kooperatywa”? Może to do niego przyklejony był Domeczek?

Zakonnica.
— Przepraszam, czy nie wie pani, gdzie tu stał kiedyś dom Melchiora Wańkowicza?

Nagły przestrzech i rumieniec zażenowania. Szybka reakcja, byle tylko pozbyć się intruza.

— Ja tu mieszkam od niedawna.

Nie wystarczy zatem znaleźć ulicę. By odszukać dom, którego nie ma, będę musiał doszperać się do kogoś, kto przebywał tutaj w tamtym czasie, lub do kogoś, kogo, jak mnie, gnają w życiu sentymenty. Mały jest ruch na Dziennikarskiej i mała pamięć o pisarzach. Próbuje sam odtworzyć w myślach topografię terenu. „Domeczek tkwił między trzema ulicami”. Pamiętam także zdjęcie z 1945 roku, na którym w szare niebo sterczy kikut szybu od windy, „która szła przez cztery piętra”, a z tyłu połyskują okna jakiejś nienaruszonej budowli. Ale to nie nie da. Do tego z moją orientacją, gubiącą się już nie w lesie, a w otoczeniu trzech drzew. Trzeba pytać dalej. Ktoś musiał tu przecież pozostać, zasiedlić dawne miejsce, gdy skończyła się burza.

Z węgierskiej przeszłości Echa

Sławomir Litwiński

WIELKI sukces chóru męskiego Towarzystwa Śpiewaczego ECHO w Lublinie, jakim było zdobycie trzeciego miejsca wśród 100 zespołów uczestniczących w Konkursie Chórów Polskich, odbyłym w czerwcu 1936 r. w Warszawie, sprawił, że Echem zainteresowały się najwyższe czynniki świata muzycznego Polski. Na ręce prezesa Echa, wicewojewody Wł. Długockiego, oraz dyrektora artystycznego, prof. E. Dzielwulskiego, napłynęło wiele listów gratulacyjnych, podkreślających wysokie walory wokalne i techniczne chóru. Świadectwem uznania dla Echa był fakt osobistych pochwał, które po ogłoszeniu wyników konkursu złożyli na ręce dyrygenta prof. Feliksa Nowowiejskiego i prof. Wacława Lachmana.

Sukces ten stał się dla Echa punktem zwrotnym w jego dotychczasowym istnieniu. W 1938 r., w związku z obchodami 1000-lecia Węgier, Krajowy Związek Chórów Węgierskich zorganizował Złoty Śpiewaczy, na który postanowiono zaprosić chór z Polski. Wybór padł na Lublin. Wielka radość zapanowała w echowym świątku śpiewaczym, gdy na jednej z prób prezes Długocki odczytał list nadesłany przez dr. Tibora Eyssena, dyrektora tegoż Związku, zapraszający chór Echo do udziału w Złocie w czerwcu 1938 roku.

Węgry — kraina rzewnej cygańskiej muzyki, słynąca z pięknych, czarnookich dziewcząt, z Tokayu i bezbrzęznych puszt, którą „echiści” dotychczas znali z książek i filmów — gościnnie otwiera swe bramy i serdecznie zaprasza do swej przastarej, naddunajskiej stolicy. Wydarzenie to zbliżyło się z jubileuszem 10-lecia istnienia Echa i było jego ukoronowaniem. Zaczęły się więc intensywne przygotowania repertuarowe. W tym miejscu oddam głos „echiście”, Bronisławowi Golcowi, który w swej kronice tej pięknej wyprawy tak je opisał: „Letnia kaniuka powypędzała ludzi z miasta, a w wielkiej sali Towarzystwa Muzycznego siedziało trzydziestu kilku zaprzańców

i dzień w dzień wkuwało pieśni polskie i węgierskie. Rozebrani do koszul, z rękawami zawiązanymi po same łokcie, pot z czoła cieknie sżniznymi kroplami... ale śpiewali. Wyschnięte gardziele nie chciały wydawać ludzkiego głosu... ale śpiewali. Na czele tej szaleńczej grupy nieustrudzony, kochany przez wszystkich wicedyrygent chóru Stasio (prof. Stanisław Iwański — przyp. S.L.), sam spocony, ochrypnięty i czarny na twarzy jak szatan, uwiązający się jak salamandra w ogniu, przygotowywał zapaleńców do wielkiej wycieczki, w której, niestety, nie mógł wziąć udziału”.



Założyciele Echa (od lewej): Ignacy Mizerski i Franciszek Litwiński, po ukończeniu 90 roku życia. Lublin 1983 r.

Decyzją zarządu Echa postanowiono pokazać się na Węgrzech we frakach, a więc tak, jak występowano na uroczystych koncertach w kraju. Ostatni tydzień przed wyjazdem dyrygent prof.

Dzielwulski poświęcił na interpretację przygotowywanych utworów. Wyjazd nastąpił o północy 24 czerwca 1938 r., a o godz. 6.00 w niedzielę; 26 czerwca pociąg wiozący „echistów” wjechał na peron hali dworcowej w sercu Węgier, Budapeszcie. Następnie przesiadka i odjazd do miasta Szekesfehervar, gdzie odbędzie się śpiewaczy konkurs. I znów oddają głos kronikarzowi: „Na dworcu Szekesfehervar spotyka nas pierwsza miła niespodzianka. Wita nas uroczysta delegacja z wiceprezydentem miasta na czele, który zwraca się do Echa z takim przemówieniem: — Kochani bracia, Polacy. Jestem prawdziwie wzruszony, że mogłem dostąpić zaszczytu powitania w murach przastarego grodu św. Stefana (pierwszego króla Węgier — przyp. S. L.) jednego z najlepszych chórów polskich. Przyjazd Panów z dalekiego i drogiego każdemu Węgowi kraju polskiego dobitnie świadczy, że stosunki nasze jeszcze bardziej się zacieśniają. Jestem głęboko przekonany, że zaszczytna dla nas wizyta polskich śpiewaków ze starego polskiego grodu Lublina będzie jeszcze jedną cegiełką w budowie potęgi i chwały bratnich narodów Polski i Węgier. Niech żyje Polska!”

Konkurs rozpoczął się w południe na rynku miejskim. Pierwsze wystąpiły chóry węgierskie. Po dwugodzinnym oczekiwaniu w 35-stopniowym upale na estradę wstępuje trzydziestu trzech „echistów”. Spiker zapowiada występ słynnego „Lengyel Dallosok” z Lublina. Najpierw leci Hasło „Leć pieśni w dal...”, potem „Rokitna” Walek Walewskiego, „Za górami...” Lachmana, „Pieśń rycerska” Moniuszki. Gdy skończyli, słychać burzę oklasków i okrzyki: „Elyen, Elyen”.

Wieczorem, po zakończeniu konkursu, w ogromnej sali magistratu odbyła się uroczystość rozdania nagród. Jeszcze raz ma głos Bronisław Golc: „Przystąpiono do właściwej uroczystości rozdania nagród. Każdy przedstawiciel chóru odbierający nagrodę witany był oklaskami, ale kiedy radca ministerialny, pan dr Eyssen, ze swym miłym uśmiechem uniósł w górę wspaniały ryngraf ze złotym herbem Węgier i oznajmił, że tę wielką nagrodę zdobył Lengyel Dallosok ECHO a Lublin, zerwał się huragan oklasków i okrzyków »Elyen Echo, Elyen Lengyelorszag«. Pan Eyssen, rozpromieniony, jak zorza, ścisnął dłoń naszym przedstawicielom. Entuzjazm wzmógł się do niebywałych granic, gdy ujął w ręce piękny, srebrny puchar i oznajmił, że jest to nagroda ufundowana przez miasto Szekesfehervar, a zdobyta przez Echo. A kiedy w odpowiedzi na tak serdeczne przyjęcie odkrzyknęliśmy chórem: »Elyen Magyarorszag« — szal ogarnął zebraną publiczność. Słyszało się już tylko jeden wielki nieartykułowany wrzask, widziało się setki wymachujących rąk. Ten zamęt panował przez cały kwadrans, a my staliśmy spłonięni jak

dzieńce i duma wstępowała w nasze serca, że oto swym skromnym dorobkiem sprawiliśmy, iż na część Polski wznoszą tu, za granicą, tysiączne okrzyki entuzjazmu”.

Po emocjach i przeżyciach tego pięknego dnia nazajutrz Echo wyjechało do Veszprem, gdzie dało wieczorem koncert na tarasie wspaniałego muzeum regionalnego. Rolę gospodarzy przejęła tu na siebie rodzina p. Kremó, dyrektora elektrowni. Ona, Polka z pochodzenia, nauczyła męża i dzieci bezbłędnego posługiwania się językiem polskim i dwaj najstarsi synowie, Alóczy i Andrzej, byli opiekunami i tłumaczami Echa w ciągu całego pobytu. Z Veszprem Echo wyjechało następnego dnia do Budapestu gdzie dało koncert w rozgłośni radiowej, transmitowany na falach długich. Wieczorem śpiewało w pięknym parku dla kilkunastu tysięcy zgromadzonych słuchaczy. Nazajutrz w ostatnim dniu pobytu przed południem „echiści” zwiedzali muzeum budapeszteńskie, a wieczorem śpiewali dla świata artystycznego. Po połączonym bankiecie, zmęczeni do cna, udali się na dworzec i zajęli miejsca w zarezerwowanym wagonie. Po kilkunastu godzinach jazdy przez Miskolc, Słowację, Lwów, pociąg zatrzymał się na stacji Lublin. Podróż Echa z pieśnią polską na Węgry zakończyła się.

Było to pięćdziesiąt lat temu, a przecież pamiętam dokładnie, gdy ojciec-mój odejźdzał późną nocą z chórem Echo z drugiego peronu w kierunku na Rejowiec, Zawadę, a ja z drużyną harcerską gimnazjum im. hetm. Zamojskiego na trzecim peronie wsiadałem tego wieczora do pociągu jadącego do Nowego Targu, gdzie w pobliskiej Białce Tatrzańskiej mieliśmy rozbić obóz. Ojciec uściśnął mnie, powiedział: „Bądź dzielny, jak przystało na Polaka” i obiecał napisać z Węgier. Po kilku dniach listonosz Góral przyniósł mi kartę od Ojca z widokiem Budapesztu i pięknymi znaczkami, którą zachowałem do dziś. Przechowałem też u siebie przez okres okupacji niemieckiej nagrodę Echa zdobytą na konkursie warszawskim w 1936 r. i puchar srebrny z Szekesfehervar z 1938 r., ocalały mimo dwukrotnego usuwania nas z mieszkań przez Niemców. Pozostałe, m.in. srebrny ryngraf, ulokowane u innych członków Echa przepadły w chwili ich aresztowania.

Patrzę na zachowane zdjęcia i z bólem uświadomiam sobie, że żyje jeszcze trzech, a może czterech, spośród tych, którzy z czystego amatorsztwa poświęcali wolny swój czas dla muzyki chóralnej, dla pieśni polskiej, spełniając testament wielkiego poety zawarty w słowach:

*plomień rozgrzynie malowane dzieje,
skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
pieśń nądzie cało...*

Ekran i widz

Schlesinger i... czarna magia

WIELU nawet bardzo wybitnych artystów — którzy niegdyś byli „młodymi gniewnymi” i przecierali nowe szlaki w sztuce filmowej, zaciekle walcząc z ekranową tandetą i schlebiającą gustom szerokiej publiczności „komercją” — zaczyna na pewnym etapie ich twórczej kariery (gdy cieszą się już opinią „klasyków gatunku”) korcić myśl zmierzania się z tematyką, jaką preferuje kino popularne: z filmem gangsterskim, przygodowym, sensacyjnym lub horrorystycznym. Kończy się to często bardzo problematycznym sukcesem, i tak też się stało w wypadku Johna Schlesingera, który postanowił nakręcić sensacyjny horror „Wyznawcy zła”, idący właśnie od niedawna na polskich ekranach.

Czwierć wieku temu trzydziestoparolletni Schlesinger był — obok Lindasay Andersona, Dioka Lestera, Karela Rejsza i Tony Richardsona — jednym z tych młodych angielskich reżyserów filmowych, którzy tworzyli pełne pa-

sji, zaangażowane „młode kino angielskie” lat sześćdziesiątych, kino zwrócone ku otaczającej ich społeczno-obyczajowej brytyjskiej rzeczywistości. Język filmowy, jakim się posługiwał, czerpał często z doświadczeń reportażu i publicystyki, nie stronił też, gdy trzeba było, od satyry i groteski. „Młode kino angielskie” było jednym z pierwszych oznak naddających wielkich światowych ruchów kontestatorskich młodzieży, angielskiej rewolucji obyczajowej, zwrócenia się młodych ku polityce, poddawania przez młodzież krytyce świata dorosłych.

W 1958 r. Tony Richardson przynosi na ekran „Miłość i gniew”; w 1961 r. powstaje jego „Smak miodu”; w 1963 — „Samotność długodystansowca”. Na przełomie 1962 i 1963 r. Lindsay Anderson debiutuje w pełnym metrażu — „Sportowym życiem”. Karel Reisz wstawia się świetnym filmem „Z soboty na niedzielę”, zrealizowanym w 1960 r. W 1961 r. pow-

staje pierwszy fabularny długometrażowy film Johna Schlesingera — „Rodzaj miłości”, z doskonałą kreacją Alana Batesa w roli Vica Browna. I od razu wielki sukces: Grand Prix („Złoty Niedźwiedź”) na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie Zachodnim w 1962 r.

Na sukces ten Schlesinger pracował już od szeregu lat. Jeszcze jako student uniwersytetu w Oxfordzie założył zespół dramatyczny, który podróżował nie tylko po miastach angielskich, ale także wybrał się z występami na kontynent amerykański. Od 1957 r. młody reżyser związał się na stałe z telewizją BBC, realizując szereg programów, przedstawień teatralnych oraz filmów telewizyjnych; reżyserował też sztuki na scenach teatralnych. Od 1952 r. John Schlesinger grywał w licznych filmach jako aktor. Kiedy przystąpił do realizacji „Rodzaju miłości”, miał już trzydzieści sześć lat i był postacią łączącą się w świecie teatralno-telewizyjnym twórców.

„Rodzaj miłości” to opowieść o dwojgu młodych, zupełnie nie przygotowanych jeszcze ani do życia uczuciowego, ani tym bardziej do małżeństwa, uwikłanych w stereotypy drobnomieszczańskiego konwenansu obyczajowego, którzy biorą ślub, gdyż po prostu „tak się złożyły okoliczności” i ponieważ sprawi to przyjemność ich rodzinom. Jakie będzie dalsze życie tej przypadkowo dobranej pary, o to się już nikt nie martwi.

W 1963 r. Schlesinger nakręcił film „Billy kłamacz”, w którym wykpiwał sposób patrzenia na świat przez angielskie klasy średnie — tych wszystkich „budzących zaufanie”, „kierujących się zdrowym rozsądkiem” kupców i przedsiębiorców. Film, w którym tytułową rolę zagrał świetny Tom Courtenay, kreujący postać skontestowanego młodego pracownika „szacownego” zakładu pogrzebowego.

W dwa lata później przyszedł kolejny wielki sukces: „Darling”, z błyskotliwie zagranymi rolami Diany Scott (Julie Christie) i Roberta Golda (Dirk Bogarde). Za kreację aktorską w „Darling” Julie Christie otrzymała Oscara, zaś sam Schlesinger — niewiele mniej, bo otworzyła się przed nim droga do Hollywood.

W 1969 r. John Schlesinger nakręcił w Stanach Zjednoczonych „Nocego kowboja”. I ten film, ukazujący w krywym zwierciadle mit zwycięskich chłopców z Teksasu, to opowieść o chłopcu z amerykańskiej prowincji, który wyrusza pewnego dnia „na podbój” Nowego Jorku i zostaje zniszczony i odrzucony przez przerażającą machinę wielkiej metropolii, przyniósł aż dwa Oscary: za najlepszy film roku i za najlepszą reżyserię.

I to był, jak dotąd, szczytowy moment w karierze Johna Schlesingera, reżysera europejskiego, który — co

Inne życie to obłąkanie

Posiadając jedynie moc miłowania, Bredieny, przyjaciele, mieć to rękach cały świat. (Jacques Brel)

TO może mówić o człowieku, którego osobowość zachwyciła publiczność wielu krajów i poruszyła serca tych, którzy doceniają wartość prostych, szczerych uczuć: wrażliwości, miłości, tęsknoty. Jacques Brel urodził się w Brukseli 8 kwietnia 1929 roku, aby osiągnąć w 1953 r. w Paryżu i znaleźć się w samym sercu show businessu. Dał się poznać z początku jako kompozytor i wykonawca piosenek, które obiegły wkrótce cały świat: od Paryża do Tokio, od San Francisco po Berlin, a wśród nich niezapomniana, wzruszająca „Ne me quitte pas” („Nie opuszczaj mnie”). Do dziś w wielu krajach wystawia się spektakle teatralne, których twórcy inspirowani są jego piosenkami. Sam Brel, spiritus movens muzycznego świata lat 60., jest wciąż na nowo odkrywany i podziwiany. W lipcu 1984 „Paris Match” opublikował sondaż, z którego wynika, że Brel pozostał jednym z najpopularniejszych piosenkarzy i poetów zarówno młodzieży, jak i starszego pokolenia. Dziś, kiedy upłynęły lata od jego śmierci, pamięć o nim budzi nadal podziw i fascynację.

Lista piosenkarzy odtwarzających piosenki Brela rośnie; malarze, rzeźbiarze, którzy inspirowali się w swojej twórczości jego życiem i piosenkami, są coraz liczniejsi, istnieją liczne opracowania dotyczące Brela, nie tylko w języku francuskim, a także prace dyplomowe studentów, którzy nie mieli nawet okazji zobaczenia go na scenie, jak na przykład praca magisterska Stéphanie Hirschi, rodem z Japonii, „Cisza Brela”, której promotorem był pan R. Mauriz z Sorbony (Uniwersytet Paris IV), licząca 369 stron. Spełnia się w ten sposób pragnienie Brela wiecznego poznawania, twórczego ruchu naprzód, które to również stało się inspiracją dla organizacji kulturalno-społeczno-naukowej, przejmującej idee Jacquesa Brela, a mianowicie „Fundacji Jacques Brel”, założonej 29 września 1981 roku w Brukseli przez córkę pieśniarza — France, a skupiającej dziś ludzi kultury i nauki wielu krajów.

Powstała jako odpowiedź na liczne prośby artystów i wielbicieli talentu Brela. Jest miejscem spotkań, otwartym dla wszystkich, świadczącym o aktualności Brela. Ale to także miejsce konsultacji, ekspozycja dokumentów, kaset, video-kaset, filmów o i z udziałem Brela, takich jak: „Mon pere disait” („Mój ojciec mówił”) — wypowiedź France Brel, film Christiana Mesnil „Brel — krzyk” („Brel, un cri”), czy film „Pożegnanie Jacquesa Brela w Olympii” („Les adieux de Jacques Brel à l'Olympie”); miejsce gdzie zawsze można odkryć mniej znane piosenki, utwory młodzieńcze kompozytora lub posłuchać ciekawych, niezadko nigdzie nie publikowanych

wypowiedzi artysty, znaleźć różnorodne informacje o całej twórczości Brela oraz utworach literackich czy spektaklach, które powstały na skutek fascynacji Brel'em. Fundacja wspomaga także liczne towarzystwa filantropijne.

Motto, które znajdujacie państwo na początku tekstu, jest czynnym w rodzaju porte-parole Fundacji, cytatem ten figuruje na kartach członkowskich, jest więc motywem przewodnim, idee fixe, a sama Fundacja nie tylko dysponuje zbiorem kompletnych dokumentacji o piosenkarzu, ale prowadzi ożywioną działalność kulturalno-nau-



Repr. Maciej Kaczanowski

kową. Bowiem Brel to nie tylko twórca pięknych, poetycznych piosenek, których słowa ciążą znaczeniem, przemawiają tragiczną głębią przeżyć, to także pasjonat, „niezmordowany” — jak sam się o sobie kiedyś wyraził — człowiek pracy, ciężkiej, uszlachetniającej, wspaniały interpretator umiejący wydobyć ze słów siłę, moc, ale i czułość, odczuwający nostalgicznie za utraconym dzieciństwem, nie poddający się żadnej modzie, wielki indywidualista w sposobie interpretacji i w życiu.

Poza występami na scenie Brel wystawił amerykański dramat muzyczny „Człowiek z la Manchy” („L'Homme de la Mancha”), nagrał sporo płyt, nakręcił osiem filmów z różnymi

realizatorami. Oto kilka nazwisk: Claude Lelouch, Edouard Molinaro, Claude Carné, André Cayatte. W końcu powstały dwa filmy długometrażowe: „Franz” i „Far West”. Wystawiony w Nowym Jorku spektakl kabaretowy „Jacques Brel is alive and well and living in Paris” został przejęty przez liczne kabarety i przedstawiany w całym Stanach Zjednoczonych.

Już dziś można powiedzieć, że obok takich postaci jak: powieściopisarz Georges Simenon, rysownik i twórca „Tintina” — Hergé, kolarz Eddy Merckx, kierowca rajdowy Jacky Ickx czy malarz Magritte, Jacques Brel jest jednym z najświetniejszych Belgów XX wieku. Nic więc dziwnego, że France (druga córka Brela) chciała stworzyć „miejsce spotkania, dla wszystkich tych, którzy kochali jej ojca”, ojca, którego silna osobowość wywierała zawsze wrażenie na tych, którzy go znali, i nie pozostawiała oczywiście, bez wpływu na nich. O wielkiej sile ducha i konsekwencji w realizacji marzenia „dania naprzód” świadczą ostatecznie lata życia Brela, kiedy przeżywał on Atlantyk i Pacyfik swoim żaglowcem „L'Askoy”, przebywszy uprzednio operację na raka płuc. A na kilka miesięcy przed śmiercią pilotuje własny samolot „Le Jojo” między wyspami Marquises i Tahiti. Jacques Brel zmarł 9 października 1978 roku w Bobigny pod Paryżem i spoczywa na wyspie Hiva-Oa, u boku Gauguina.

Minęła niedawno dziesiąta rocznica jego śmierci, którą uczcili ludzie wielu krajów. A właściwie dwie rocznice, ponieważ 29 września 1988 „Fundacja Jacques Brel” święciła szósty rok istnienia. A to zobowiązuje, zobowiązuje do czegoś wartościowego, trwałego, rozwijającego się, twórczego, ponieważ Fundacja nie może być jedynie czynnym w rodzaju medioteki.

Co jest w Brelu niesmiertelnego, co pozwala odbierać go tak gorąco, tak w pełni, co bije taką świeżością, co jest nam wspólne? W życiu prywatnym i w pracy zawodowej Brel pragnął odważyć człowieka, który pragnie zrealizować do końca swoje marzenia, dojść do nie istniejących granic własnych pragnień. Co on sam mówi o sobie i co zarazem odzwierciedla charakter i temperament artysty? W jednym z wywiadów (materiały pochodzą z zbiorów Fundacji) dla „L'éveil” w 1968 r. Jacques Brel wypowiedział się w rozmowie ze studentami:

— Jaki jest dla pana podstawowy obowiązek człowieka?

— Nie myślę, że ludzie mają obowiązek. (...) Obowiązek, to żyć według własnego marzenia. Cała reszta to obłąkanie, żyć coś innego niż własne życie to obłąkanie. To całkowite tchórzostwo. Trzeba żyć swoje własne życie.

— Często mówił pan o Vasco da Gama?

— Tak, to obraz. Mogłbym również powiedzieć: Magellan lub Krzysztof Kolumb (...) Kiedy mówię, że lubię

Vasco da Gama, lubię obraz pewnej przygody. I to przygody, która nie była przygodą dla przygody.

— Czy grając człowieka z Manchy, nie realizował pan marzenia bycia Vasco da Gama?

— Całe moje życie jest trochę takie. Tak to właśnie to.

— Czy myśli pan, że przygoda może być formą ideału?

— Czuję wstręt do słowa ideał. To słowo sprawia mi ból. Przygoda to sposób życia. W rzeczywistości trzeba wiedzieć, czy żyje się dla siebie, czy dla innych. (...) Albo się kocha samego siebie i zajmuje się sobą z wielką energią. Albo uważa się siebie za wypadek biologiczny. Równie dobrze mógłbym się nie urodzić. Równie dobrze bym się bez tego o był, wy także. A więc trzeba wybierać. Pewnego dnia pojawia się wybór, który kieruje całym waszym życiem, który sprawia, że robicie w życiu rzeczy mniej lub bardziej szalone, mniej lub bardziej mądre.

— A jaki jest pana wybór?

— Żyć (...). Głupotą jest kochać siebie samego. Próbuje, o ile to możliwe, nie być narzędziem i żyć. Nie chodzi tu o życie szalone. To jest tak, jakby się chciało dojść do końca własnych marzeń, i to obowiązkowo, a zważywszy, że społeczeństwo jest bardzo uobyczajnione, sprawia się wówczas wrznięcie wariata. Podczas, kiedy dla mnie właśnie uczeni wydają się kompletnymi wariatami.

— Czy ma pan zamiar zmienić społeczeństwo lub uformować innych, którzy to zrobią?

— Byłoby to głupia zarozumiałość. Do tego trzeba być teologiem lub filozofem. Nie roszczę sobie prawa do zmiany społeczeństwa. Niczego się nie zmienia. Czasem można ludziom kazać się zastanowić, zwątpić, czasem ludziom kazać mnie wątpić. Ale to nie zmiana. Trzeba być obłąkanym, żeby w to wierzyć. Ze są słowa orędzia. Co za groteska (...).

Brel mawiał więc, że idzie swoją drogą, atakował bogate sfery społeczeństwa i nie był przez nie lubiany, on sam nie lubił przeciętności, stereotypów, wygodnych wizji i projektów, jakie czyni młodzież na własną przyszłość. Żył dla triumfu marzenia nad przeciętnością, wiedząc jednak, że w życiu nie ma przypadkowych prezentów, wszystko trzeba zrobić samemu. Choć przebywał głównie we Francji, czuł się Belgiem, i kiedy śpiewał o szarym niebie swego kraju, szarym jak kanał, o wieżach między Bruges, a Gand, każde słowo tętniło życiem, miłością i tęsknotą za czymś zawieszonym w czasie, błękitnym i niedosięglą. Zachował młodość, bo młodość to życie, wieczny ruch, otwarcie na świat. I tę właśnie ideę pragnie rozwiązać Fundacja, „być w ruchu”, nie stać się muzeum.

rzadko się zdarza — potrafił „wziąć szturm” Hollywood.

Ale w następnych latach, kiedy Schlesinger zabrał się w Ameryce do kręcenia dalszych filmów, jego dzieła zaczęły tracić na oryginalności i świeżości spojrzenia. Zarówno w oglądanym u nas „Dniu szarańczy”, jak i w sensacyjnym „Maratończyku” (choć widać w nich wspaniały profesjonalny warsztat reżyserski) trudno doszukać się tych atutów, jakie cechowały dawnego Schlesingera.

W powstałych w 1987 r. „Wyznawcach zła” reżyser zupełnie już odbiega od dawniej podejmowanej problematyki. Jego krwawa opowieść, odwołująca się do starych afrykańskich wierzeń i religii (które w okresie niewolnictwa w Ameryce zostały nasyczone elementami wiary chrześcijańskiej, jak na przykład, znajdująca dziś licznych zwolenników nawet w Nowym Jorku, Santeria), nie przynosi żadnego oryginalnego spojrzenia na ten ciekawy skądinąd problem. Czarna magia, tajemne praktyki, rytualne mordy, wężę lęgnące się we wnętrznościach przeciwników Santerii, otwierające się na ich twarzach straszliwe rany — te wszystkie niesamowite działania i wydarzenia, z którymi ani rusz nie

może sobie dać rady cały nowoczesny, zbrojny w elektronikę aparat policyjny, są niewątpliwie efektownie pokazane na ekranie...

Wybrać się na „Wyznawców zła” — warto. Ale warto też, oglądając ten film, pamiętać o krętych i śliskich drogach, na jakie zstępują niejednokrotnie niegdysiejsi idole. Którzy może już się wypalili? A może robią takie filmy w pogoni za sławą, za pieniędzmi? Może kontestując w ten sposób przeciw własnej legendzie?

Tak czy inaczej najbardziej w sedno utrafiła, omawiając „Wyznawców zła”, jedna z amerykańskich recenzentek, pisząca bez owijania w bawełnę:

„Ten film wyróżnia się doskonałymi zdjęciami (...), ma inteligentnie zagrą, choć nie zapadającą w pamięć główną rolę przystojnego Martina Sheena i jest (częściowo) wyreżyserowany na profesjonalnym poziomie, którego mieliśmy prawo oczekiwać od Johna Schlesingera. Co powiedziawszy, przyznać trzeba, że reszta w tym filmie to zwykłe banialuki”.

M. D.



Był. Tomasz Wilkiewicz

